

WYGNANIA I POWROTY

Rodzice przyjechali do Gdyni jako młodzi ludzie w latach trzydziestych. Mama przyjechała z Poznańskiego, z miejscowości Krobia, wraz z trzema siostrami i dwoma braćmi, którzy założyli tutaj interesy. Jeden z braci założył sklep kolonialny, w którym pracowała jedna z siostrz mami, a mama z drugą siostrą pracowały i pomagały drugiemu bratu w prowadzeniu masarni i sklepu. Mama sprzedawała w sklepie. To było na ul. Morskiej 63 (obecnie i przed wojną). Dom był dość duży, pobudowany przez jednego z miejscowych ludzi, Kaszubów, który sprzedawał na potrzeby infrastruktury miasta i portu wiele ziemi. Pobudował także ten budynek czynszowy, w którym mieszkali lokatorzy. To był duży blok. Moja mama mieszkała tam już jako panna. W tym samym domu wynajmował kwaterę mój ojciec. Zaprzyjaźnili się i tak powstało ich małżeństwo.

Sąsiadka akuszerka

W tym samym domu mieszkała również pani, która była akuszerką. Jej córka mieszka dziś w Koszalinie i jest członkiem naszego Stowarzyszenia Gdynian Wyszędzonych. Ona przekazała nam spis porodów odebranych przez jej mamę. To dla nas bardzo ważne informacje, bo jej matka rozpoczęła pracę akuszerki w 1918 r. w Tczewie. Potem się przeniósła do Gdyni, najpierw odbierała porody w Śródmieściu, a potem w Chyloni. Jej losy były podobne do naszych. Została wysiedlona z Gdyni do Generalnej Guberni i dalej do Związku Sowieckiego. Jako akuszerka odbierała porody w czasie wysiedleń, w transporcie, potem także w drodze powrotnej do Gdyni – w Chełmie, Lublinie. W Gdyni nie miała gdzie się zatrzymać, bo jej dom już nie istniał, więc wyjechała do Koszalina i tam zakończyła swój żywot. W zachowanym spisie odebranych przez nią porodów są tysiące nazwisk.

Ta pani mieszkała w tym samym domu i odbierała w porodzie moją siostrę. Miałem okazję jeszcze się z nią spotkać i zapytałem, czy pamięta, że w tym domu, gdzie mieszkali przed wojną, na dole było rzeźnictwo. Ona powiedziała, że do dzisiaj jeszcze czuje smak kiełbasy, którą produkował ten rzeźnik, to znaczy mój wujek.

Korzenie

My pochodzimy z rodziny, w której tradycją jest wędliniarstwo. Moi kuzyni kończyli specjalną szkołę w Krotoszynie i też trudnili się masarstwem. A mój tata przyjechał spod Świecia, z Błędzimia, to są Bory Tucholskie. Tam z kolei była tradycja stolarska. Został przyuczony do stolarstwa i rozpoczął pracę w jakimś zakładzie pracującym na rzecz stoczni. Gdy poznał mamę, to jej bracia skrzyknęli się i pomogli w zakupie jednego ze sklepów państwa Sieradzkich, na ulicy Słupeckiej 17, i tam mama z tatą prowadzili własny sklep. To był dobry interes, skoro do 1939 r. rodzice już sami kupili drugi sklep. Na tej samej ulicy otworzyli sklep spożywczy, w nowocześniejszym domu u pana Ferenca. W tym domu na Słupeckiej 12 „a” ja się urodziłem. I właśnie stamtąd zostaliśmy wysiedleni. Sam nie pamiętam tego wysiedlenia, jestem najmłodszym członkiem naszego Stowarzyszenia Gdynian Wyszędzonych i dlatego w 2000 r. powierzono mi funkcję prezesa. Znam to z opowiadań. Natomiast pamiętam, bo już byłem trochę starszy, nasz powrót do Gdyni.

Gdynia-Działki Leśne, bo tak się nazywa ta dzielnica, gdzie mieszkaliśmy przed wojną, to była prominentna dzielnica, willowa, tam mieszkali ludzie zamożni. Nie wyganiano nas z domów do pociągu, tylko podstawiano samochody i samochodami ewakuowano, najpierw w kierunku na zachód, a potem na Warszawę.

Zakładnicy

W Gdyni zostało pięć tysięcy ludzi, zatrzymanych 16 września 1939 r. Zabrano ich z domu albo z łapanek na ulicy i zostali zakładnikami miasta, bo po poddaniu się Gdyni przyjechał tu Hitler. Żeby Hitlerowi nic się nie stało, zatrzymano tych ludzi. Zapędzono ich do szkół albo do domów emigracyjnych i tam oczekiwali na zakończenie wizyty Hitlera. Potem nastąpiła selekcja według przygotowanych list. Niemcy byli dobrze zorientowali, kto spośród mieszkańców Gdyni jest nastawiony proniemiecko, a kto jest Polakiem, który się nie da zaprzedać. Według takich list proskrypcyjnych kierowano polskich zakładników do Wejherowa albo do Nowego Portu w Gdańsku. Ci z Nowego Portu wyładowali potem w Stutthofie, w obozie koncentracyjnym. Ci kierowani do Wejherowa zostali potem rozstrzelani w lasach piaszczystych. Tam rozstrzelano od 12 do 14 tys. polskiej ludności cywilnej. To jest jeszcze mało znane miejsce, tak samo jak mało znany jest Stutthof, pierwszy niemiecki obóz koncentracyjny dla Polaków, który od 3 września w 1939 r. przyjmował więźniów. Zakończył swoją „działalność” 10 maja 1945 r. Czyli był to najdłużej działający obóz koncentracyjny, w którym zginęło 85 tys. istnień ludzkich.

Nie wszyscy gdynianie byli wypędzeni, część została. Nie mam pretensji do tych, co byli kolejarzami, co obsługiwali wodociągi, to była kadra potrzebna miastu. Ale zostali tam też ludzie bez zawodu, którzy byli niemieckimi sługusami. Jak przyszedł okres rehabilitacji, to oni zostali zrehabilitowani, a potem byli pierwsi zastrżeni w pracy i z przywilejami.

Mój tata, kiedy myśmy już wyjechali, a on przestał być zakładnikiem, uciekł i ukrywał się w lesie. Potem starał się zabezpieczyć nasz majątek. Zdeponował nasze ruchomości u pana Ferencza – Kaszuba, właściciela domu, który zaopiekował się naszymi rzeczami domowymi, wagami sklepowymi, wszystkim. Później ojciec pieszo wyruszył w kierunku moich dziadków i tam spotkał się z nami. Jeszcze jak się ukrywał, dołączył do niego nasz kuzyn. I on razem z ojcem przybył do dziadków.

W Wielkopolsce

A z nami było tak: niemieccy kierowcy dostali polecenie, że mają nas zostawić gdziekolwiek pod Warszawą. Mama wraz z ciotkami, czyli swoimi siostrami, znaty niemiecki i przekupiły kierowców niemieckich, którzy mieli nas zostawić w okolicach Warszawy i jechać na zachód, do Niemiec, po dalsze wyposażenie dla wojska, dla frontu. Zabrali nas więc ze sobą i po drodze zajechali do Krobi i tam nas wysadzili. Na tych samochodach (to nie były luksusowe samochody, to były ople blitz) jechaliśmy my, ale również nasi pracownicy i uczniowie, bo ojciec tuż przed wojną zakładał już fabrykę cukierków, miał uczniów, pomocników i ich wszystkich miał obowiązek zabrać tam, skąd pochodzili. Wśród nich był jeden z moich kuzynów, który miał czternaście lat i przyjechał uczyć się do Szkoły Morskiej. Trzy dni wcześniej Niemcy dokonali w Krobi egzekucji piętnastu cywilów, żeby zastraszyć ludność. Takie rozstrzelania były w różnych okolicznych miejscowościach – w Dolsku, Śremie, o czym wiedzieli wszyscy miejscowi ludzie. Mój kuzyn i jego matka nie mieli po co jechać do Krobi, bo jego wujek, Henryk Balicki, został rozstrzelany na rynku w Krobi przez Niemców. Cała rodzina Balickich została ewakuowana do Tarnowa.

Ojciec dotarł do nas jakoś tak w okolicy Bożego Narodzenia. W Krobi byli już „nasiedleni” Niemcy. Był taki gospodarz Franz Weigt, który objął duże gospodarstwo po wysiedlonych Polakach. On zatrudnił moją mamę. Wykonywała u niego różne prace gospodarcze, przy dojeniu krów, przy obrządku. A ojciec, ponieważ znał się na obróbce drzewa i znał niemiecki, znalazł pracę u córki tego Weigta, Hildy, która objęła miejscowy tartak, ale kompletnie się na tym nie znała. Mieszkaliśmy kątem u pani Dopierały, której syn był gazmistrzem. Wtedy w takich małych miejscowościach gaz wytwarzało się z węgla. Robił to właśnie jej syn. Dlatego, że on był w tej miejscowości potrzebny, zostawiono im dom i my mogliśmy tam zamieszkać kątem, na dwunastu metrach. W takim niewielkim pokoju stały dwa łóżka, jak sobie przypominam. Ogrzewanie było kozą.

Wojenne dzieciństwo

Jako dziecko w czasie wojny wiele czasu spędzałem nie na ulicy, a w piwnicy, bo byłem blondynem, w odróżnieniu od mojej siostry, która miała ciemne włosy. Rodzice bali się o mnie, bo w Krobi u państwa Andrzejewskich Niemcy zabrali dwóch chłopców do zniewolenia na terenie Rzeszy. Jak szedł żandarm niemiecki, to rodzice mnie zamykali w piwnicy. Dzięki temu jestem w Polsce, bo gdyby mnie jako dzieciaka zabrali, to nie wiadomo, czy nie stałbym się zniewolonym Polakiem.

Jak miałem pięć lat, to miałem obowiązek pasać gęsi. Pamiętam, że na tym podwórzu, gdzieśmy je paśli, była taka duża sadzawka. Z siostrą często przekomarzaliśmy się. I przez tę moją siostrę i przez te niemieckie gęsi byłbym się utopił, gdyby nie podniesiono alarmu, że wpadłem w to grzęzawisko.

Polskie kolędy

Wojna tam skończyła się gdzieś na początku lutego 1945 r., ale już na Boże Narodzenie w 1944 r. ten Weigt i Hilda opuścili Krobię, bo mieli wiadomości, że front idzie szybko, więc nie ma na co czekać. Pamiętam, że w tę ostatnią Wigilię mogliśmy już mówić po polsku i śpiewać po polsku. Wtedy usłyszałem pierwsze polskie kolędy. Został otwarty kościół, który do tej pory był magazynem. Tam były chyba cztery kościoły i one wszystkie były przerobione na magazyny. Niemcy zaczęli opuszczać ten teren. Obserwowaliśmy – w styczniu, w lutym, w tęgi mróz – Niemcy jechali na zachód zaprzęgami konnymi, niektórzy szli obok wozów. Każdy koń ciągnął za sobą co najmniej dwa wozy, bo tyle rzeczy zabierali Niemcy ze sobą, tyle nagrabili. Uciekali na zachód, a dzień, dwa za nimi szedł front radziecki, czołgi. Rosjanie, pamiętam ich wyposażenie, te karabiny na sznurku. Jak oni wpadli do mieszkania i zauważyli dzbanek ze złotym brzeżkiem – *eto zo foto!*, dawaj kuć, odkuwać itd. To były takie czasy.

Powrót do Gdyni

Najpierw do Gdyni pojechał ojciec – w lutym, może na początku marca, żeby zorientować się, co się dzieje. Pierwsze, co zobaczył to, że na Słupeckiej 12 „a” stoi samochód w sklepie. On wjechał w ten sklep z góry, z ulicy Urszulanek. Ojciec przygotował wszystko na nasz powrót. Wróciliśmy 15 maja 1945 r. Jechaliśmy przez Poznań, gdzie trzy, cztery dni czekaliśmy na dalsze połączenie. Były pozrywane mosty, poniszczone drogi. W Poznaniu mieliśmy gdzie się zatrzymać, bo tam była nasza rodzina. Wujek Bolesław Smektała, u którego się zatrzymaliśmy, był na Syberii, za Katyń był na Syberii. On się urodził w Westfalii, bo ojciec jego pojechał tam jako górnik. Wujek znał język niemiecki i flamandzki,

i był tłumaczem. Była taka ekspedycja, niewiele się o niej pisze, do Katynia, on tam był tłumaczem, ale potem Rosjanie go złapali i zesłali go na Sybir. Gdy wrócił w 1948 r., to jego żona, siostry i córki nie poznały go, tak był wyniszczony. Wcześniej, tak jak wszyscy w naszej rodzinie, był dobrze zbudowanym, postawnym mężczyzną, a jak wrócił, to ważył czterdzieści kilo. W Poznaniu ojciec zorganizował transport do Gdyni. Tak jak nasi różni znajomi wyjeżdżali z Gdyni bydlęcymi wagonami, tak myśmy bydlęcymi wagonami wrócili do Gdyni.

Komunistyczne wysiedlenie

Zamieszkaliśmy w tym domu na Słupeckiej 12 „a”, w mieszkaniu, którego nam przypomniał właściciel, pan Ferenc. On nie wyjeżdżał, był kaleką, a opiekowała się nim pani Mikołajczykowa. Zadbali o nasze mieszkanie, bo byliśmy dobrymi lokatorami, wynajmującymi też sklep.

Miasto się rozwijało, rozwijał się też handel. Ojciec miał taki wózek, którym zwoził towar, czasami pożyczał od sąsiada konia. Istniała już Państwowa Centrala Handlowa, skąd wozili cukier, sól, wszystko, co było potrzebne w sklepie kolonialnym, mydło oczywiście. Powoli coraz lepiej mu szło, no, ale to była prywatna inicjatywa. W 1947 r. trzeba było tę prywatną inicjatywę zlikwidować, zdusić. Najpierw była bandycka napaść na dom, na nasze mieszkanie. Ojciec rozpoznał bandytów, bo to nie byli jacyś anonimowi ludzie. To byli funkcjonariusze II Komisariatu Milicji z ul. Pomorskiej. I za to, że ich rozpoznał i zgłosił to, oczywiście był szykanowany. Pojawiły się kontrole: PIH, SANEPID – a to brak jakiejś kartki, a to brak ceny. Jako spekulant odwiedził wtenczas więzienie we Wronkach i w Gdańsku.

I tak to trwało do 25 kwietnia 1950 r. Wracam ze szkoły, a chodziłem do szkoły nr 2 na ulicę Leśną w Gdyni, obecnie ul. Wolności. Lecę do domu, rozradowany, że już po lekcjach, a w drzwiach stoi pan z pepeszą. I mówi – a ty chłopcze? A ja mówię – usuń się pan, żebym mógł wejść do domu. A on mówi – a do jakiego ty domu chcesz wejść, jak ty się nazywasz? – Wietrzykowski! – A, to tam, na samochód. Pod dom podstawione były samochody. Już nie opel blitz, tylko studebackery z unrowskiej dostawy. Sprzęty i wyposażenie sklepu przejęło MHD, wyposażenie mieszkania też zostało w Gdyni, myśmy wzięli tylko bagaże podręczne, ja teczkę z przyrządami szkolnymi. Tak więc nasza rodzina przeszła dwa wysiedlenia, jedno to niemieckie, a drugie peerelowskie.

Niszczą spekulantów

I wywieźli nas na Żuławy. Tam mieliśmy spędzać dalsze życie, bo spekulantów trzeba niszczyć, prywatną inicjatywę należy niszczyć, nacjonalizacja, domiary... Prywatnym właścicielom odebrano sklepy. W Gdyni na Świętojańskiej był taki pan Ratajczak, też mu odebrano sklepy, innym też, i utworzono przedsiębiorstwo MHD i MHM (my handlujemy mięsem). Na skutek interwencji mama dostała pracę. Dojeżdżała z Żuław do pierwszego otwartego sklepu spożywczego na ulicy Długiej, a jej współpracownica, pani Hałasowa, z Oksywiu, pociągami parowymi do Gdańska (też jej zabrano sklep, ale nie wyrzucono z mieszkania). Nasze mieszkanie na Słupeckiej 12 „a” zostało zajęte przez nauczycieli, takich, którzy uczyli poprawnie. Jeden z nich nazywał się Brzuchacz. Przyszedł z frontem, jako *fizykulturnik*, nauczyciel gimnastyki. Po jakimś czasie zmienił nazwisko na Brzeski, bo Brzuchacz to nieładne. A drugie nasze mieszkanie zajęła pani Ratajczak, też nauczycielka. Zimą przebyliśmy na Żuławach, a w 1951 r. ojciec swoimi ścieżkami i swoim sumptem dostał mieszkanie w bloku przy ul. Reya 8. Byliśmy pod stałym nadzorem. Obok mieszkała służba

bezpieczeństwa i to mieszkanie służby bezpieczeństwa jest tam utrzymywane do dnia dzisiejszego. Najpierw mieszkał w nim człowiek, który miał niższe dystynkcje, potem doszedł do majora, pracował w WOP, w milicji, w GPK, a potem wybudował sobie dom.

Obraza majestatu

A jeśli chodzi o nasze przedwojenne tzw. ruchomości, nasz dobytek, to nie odzyskaliśmy go po 1939 r. Wszystko było przechowywane na ul. Morskiej 63. Jak ojciec zgłosił się po nie do tego właśnie pana, który był wcześniej bardzo przyjazny dla nas, to on powiedział, że rzeczy naszych nie ma. Jak ojciec mu powiedział, że jest złodziejem, to on powiedział, że obraża członka partii. On w czasie okupacji przemianował się na folksdojczka, a po wojnie szybko został zrehabilitowany i wpisał się na listę członków PPR. Ojciec został skazany za obrazę członka, aktywisty partyjnego w dzielnicy Chylonia.

Miasto szczególne

Mówimy o wysiedleniach. Pierwsze wysiedlenia z Gdyni to był 1939 r. To były pierwsze wysiedlenia na terenie okupowanej Polski. Obozy przejściowe i wydział przesiedleń utworzono w marcu 1940 r. Ale wysiedlenia na terenie Gdyni trwały jeszcze bardzo długo. Do 1956 r. był zakaz meldowania się w Gdyni i samowolnego jej opuszczania. W strefie nadgranicznej nie wolno było mieszkać i przebywać „niepewnemu elementowi”, ludziom przedsiębiorczym, którzy mieli inicjatywę albo inne spojrzenie na rozwój miasta, floty, gospodarki. Ci ludzie musieli się usunąć, byli wysiedlani. Rodziny moich kolegów ze szkoły z dnia na dzień wyjeżdżały poza Wybrzeże, były wysiedlane nawet pod Warszawę. Nawet Eugeniusz Kwiatkowski też miał zakaz przebywania w strefie nadgranicznej, został wysiedlony z Gdyni tylko dlatego, że się nie zgadzał z ideami rozwoju, rozbudowy tego układu Gdańsk–Gdynia.

19 sierpnia 1957 r. zostałem zatrudniony w porcie, ale ponieważ uprawiałem sport, biegałem w przystoczniovym klubie, to do pracy poszedłem faktycznie w latach sześćdziesiątych. Ale nie miałem prawa wejścia na stojące statki. Dopiero w 1963 r. dostałem bon, uprawniający mnie do wejścia na statki, który musiałem każdorazowo zdawać. Cały czas miałem w dokumentach napisane – politycznie niepewny. Przepustkę stałą na wejście na statki stojące w porcie dostałem dopiero w 1966 r. Byłem sztauerem ładunków okrętowych, moim zadaniem było takie układanie ładunków, żeby statek się nie przewrócił, żeby ładunki były dobrze rozłożone i umocowane. Nie miałem też prawa wyjazdu, nawet na wycieczki do Leningradu czy Helsinek, bo wciąż byłem politycznie niepewny.

Sytuacja Gdyni jako miasta prężnego, energicznego, budowanego przez ludzi świątłych, odważnych, bo trzeba było podejmować śmiało decyzje, była zawsze solą w oku jakiejś władzy, czy to władzy okupacyjnej, czy władzy, która rywalizowała z Gdynią. Nie bez kozery z Gdyni wszystkie centrale morskie zostały systematycznie przenoszone do Gdańska. I choć po wojnie Gdańsk był zniszczony, to też je przenoszono. Trzeba pamiętać, że z Gdyni wysiedlono 80 proc. mieszkańców ze 123 tys. Powróciło 30–40 tys.

My jesteśmy nie tylko pokrzywdzeni przez los. Jesteśmy pokrzywdzeni przez państwo niemieckie, które wypowiedziało drugą wojnę światową, bo od strony niemieckiej nie otrzymujemy żadnego odszkodowania, mimo że przedstawiamy dokumenty. Tylko 30 proc. z nas dostało zaliczkę od Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie za pracę, dwa tys. zł za dwa tys. dni okupacji, złotówkę za dzień niewolniczej pracy. Pokrzywdzeni jesteśmy również przez władze, które tworzyły w 1991 r. prawo o kombatantach i niektórych represjo-

nowanych i nie uwzględnili nas w tej grupie ludzi. Wystarczyło kamieniem rzucić w milicjanta i dostać za to miesiąc aresztu czy mieć siedem dni zwolnienia lekarskiego w stanie wojennym i jest się kombatantem... Ci, co byli wysiedleni później, po 1940 r., po utworzeniu tego wydziału ds. przesiedleń, mają dokumenty, to są kombatantami, bo przeszli przez tak zwane obozy przesiedleńcze. Są też ludzie, którzy już mieli dość tego niemieckiego panowania i zniszczyli swoje dokumenty, ausweisy czy arbeitskarty, bo nie chcieli mieć tego, a to teraz jest najważniejszy dokument. Ale my wszyscy jesteśmy dumni z tego, że jesteśmy Gdynianami.

(Relacji wysłuchała i opracowała Barbara Polak)

